

## **Bóg (jeśli istnieje) i ja**

Gdzieś to czytałem, chyba u Lema, którego bardzo bawiły takie spekulacje, że możliwość życia, ba, zaistnienia każdej z istot zamieszkujących naszą małą planetę, według rachunku prawdopodobieństwa jest tak mała, tak mikroskopijna, że bardzo, bardzo daleko jej do granicy błędu statystycznego, tego minimalnego ułamka, po przekroczeniu którego święta nauka – matematyka uwzględniałaby nas jako choćby swoistą anomalię.

Co więcej, sama planeta i warunki na niej panujące też tak bardzo różnią się od tego wszystkiego w kosmosie, co daje się zaobserwować, że są niemal niewiarygodne. Faktem jest zatem, że w tym naukowo-badawczym wymiarze planeta Ziemia i te miliardy istot ją zamieszkujących nie istnieją – nie przekraczają wszak tej magicznej granicy statystycznego błędu, są więc złudzeniem, marą senną, mirażem lub zbiorowym – taśmowo i seryjnie, metodycznie, z podziałem na gatunki, rodzaje, grupy, podgrupy i wreszcie pojedyncze indywidua – stale i bez przerw żadnych produkowanym cudem.

Masowym zbiorem: widocznych i słyszalnych, czasem miłych, częściej uciążliwych, mniej czy bardziej rozumnych, pięknych, banalnych i brzydkich pojedynczych zjawisk niezwykłych, cudów składających się na ten koronny dowód: na Jego – Boga istnienie.

Albo też..., wcale niewykluczone, że nauka – matematyka nie jest taka znowu święta jak się nam przedstawia.

Jestem więc pojedynczym zwidem, cudem lub ewolucyjnym wariantem, który zaistniał w wyniku nieskończonego ciągu dość absurdalnych zbiegów okoliczności, jakie przydarzyły się moim rodzicom, dziadkom, przodkom i praprzodkom. Jestem kolejnym ogniwem długiego łańcucha przypadków i spotkań, instynktów, uczuć i popędów, których protoplaści doświadczali i którym się poddawali.

Zewnętrznie jednak nie wyróżniam się niczym szczególnym. Zgromadzony (dość przypadkowo – myślę) w ewolucyjnym procesie i uszeregowany w niejasny sposób zestaw genów obdarzył mnie: wzrostem średnim, lekką nadwagą, przeciętnymi rysami twarzy. Drobnym, najczęściej kilkudniowym zarostem, noszę, bo tak jest wygodniej. Jesienią czy zimą łatwo wtapiam się w tłum (co raczej mi odpowiada). Latem i wiosną wyodrębnia mnie: bielactwo na dłoniach (w upalne dni noszę rękawiczki). Bielactwo to bezsporny dowód na niedoskonałości ewolucyjnej maszinerii; szrama na czole po rowerowym wypadku (przypadek lub przeznaczenie) i długie włosy – bo takie wolę. Zdrowie w porządku, nie licząc drobnych problemów z krążeniem i oddychaniem – oczywisty skutek nałogowego palenia. Charakter mam raczej w normie: trochę ironii, cynizmu, egoizmu, nadpobudliwości... konwencjonalna mieszanka cech wrodzonych i nabytych. Wypracowany w długotrwałym procesie analitycznego myślenia dystans do siebie i spraw ostatecznych w pewnym stopniu łagodzi te charakterologiczne przywary, jednocześnie oddalając mnie od społecznej normy obowiązujących zasad postępowania i przewidywalnych zachowań.

Przytoczona charakterystyka wyraźnie różni się z definicją cudu jako zjawiska niezwykłego, nieoczekiwanego, przeczącego logice. Mówiąc wprost, bez ogródek i zbędnej skromności – nie czuję się dowodem na Jego – Boga istnienie.

Choć, z drugiej strony, z jakichś nie całkiem zrozumiałych powodów, jestem obecnie zatrudniony na etacie mędrca, autorytetu w swojej dziedzinie, wolę jednak myśleć o sobie jako o doradcy.

Cztery razy w tygodniu udzielam porad w sprawach szczegółowych i generalnych, za co otrzymuję godziwe wynagrodzenie.

Mam więcej niż przeciętne wycucie harmonii, wrodzoną przenikliwość, wyobraźnię i wypracowaną z wiekiem hierarchię ważności, obejmującą w dość sensowny sposób całe spektrum zagadnień, związanych z życiem i twórczością, która jest, jak miemam, swoistą emanacją różnorodnych postaw wobec szeroko pojętej egzystencji.

Pracuję więc jako mędrzec, ale jak wszyscy, nie potrafię odpowiedzieć na podstawowe pytania: o sens życia, o Boga (czy to myśmy go stworzyli, czy On nas). Nie potrafię wyobrazić sobie nieskończoności czasu i przestrzeni. Wiele z tego, co mówię jest wyłącznie moim domysłem, przecuciem lub dedukcją. Wyobraźnia podpowiada mi, że świat jest w nieustannym ruchu, kosmos przypomina wielki organizm, pulsuje w nim życie, krąży krew, zakończenia nerwów w najdalszych nawet obszarach odbierają bodźce z jakiegoś centralnego układu, planety i gwiazdy to atomy, galaktyki i metagalaktyki to komórki i tkanki tego organizmu. We Wszechświecie wszystko jest w swoistej równowadze, podlega prawu ogólnej harmonii, choć poszczególne atomy, komórki i tkanki tej metaistoty obumierają w spektakularnych zderzeniach i wybuchach, aby zrobić miejsce dla nowych, zregenerowanych części. Myślę, że każdy wszechświat, jak każdy organizm – nie jest doskonały i nie jest wieczny: czasem choruje, starzeje się, w końcu umiera, a my wraz z nim.

Jeśli naszym Bogiem jest nasz Wszechświat, to jesteśmy jego mikroskopijnymi częściami i rzeczywiście jesteśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo: rodzimy się i umieramy. Ale czy ktoś z nas przejmuje się drobinami złuszczonego naskórka?

Być może jestem mikroskopijną cząstką Boga, na pewno jestem pyłkiem Uniwersum, nie zmienia to jednak faktu, że cztery razy w tygodniu, w zależności od pogody i stanu zdrowia muszę podejmować kluczową decyzję: jak dotrzeć na uczelnię? Jeśli warunki są sprzyjające, wybieram rower (z dbałości o fizyczną kondycję, ale też, aby uniknąć korków i kłopotów z parkowaniem). Niezależnie jednak od tego, jakiego dokonam wyboru, nigdy nie mam pewności, czy będzie to dobra decyzja.